

Miroslaw Pęczak

4 listopada 2009

Rozmowa z Leszkiem Możdżerem

Gram po polsku

Miroslaw Pęczak: - W swoim nowym projekcie "Lutosphere" nawiązujesz do muzyki Witolda Lutosławskiego, ale niekiedy można mieć wrażenie, że to rodzaj dowcipu na temat Mistrza. Nie obawiasz się posądzeń o szarganie świętości?

Leszek Możdżer: - Jestem bardzo wrażliwy na krytykę, więc jeśli pojawi się jakaś lawina negatywnych opinii w związku z tym projektem, to będę musiał przemyśleć sprawę i z niego zrezygnować lub po przemyśleniu zarzutów zacząć go eksploatować z jeszcze większym przekonaniem. Krytyka zmusza do zadania samemu sobie poważnych pytań i to jest w niej najwartościowsze. Jeżeli chodzi o "Lutosphere" to nie wydaje mi się, żebyśmy przekraczali granice przyzwoitości, a publiczność, co pewnie sam zauważyłeś, reaguje raczej aplauzem.

Bo rzeczywiście, twoja żywiołowość, radość grania udziela się publice, także tej, a może przede wszystkim tej, która na co dzień nie słucha ani muzyki klasycznej, ani też nazbyt skomplikowanej muzyki improwizowanej...

Muzyka wykonywana na żywo ma w sobie zawsze coś magicznego, oczywiście pod warunkiem, że jest na przyzwoitym poziomie warsztatowym. Zawsze miałem szczęście do wybitnych partnerów na scenie, a ostatnio moja twórczość jest promowana przez media, co sprawia, że dużo ludzi przychodzi na koncerty chociażby po to, żeby mieć swoje zdanie. Przyznam szczerze, że wyczuwam od jakiegoś czasu, że publiczność na moich koncertach jest bardzo niejednolita, trudniej mi się nawiązuje z nią kontakt.

Kiedyś przychodzili tylko wtajemniczeni, miałem z widowni bardzo wyraźny, spójny komunikat, mogłem na bieżąco kreować przebieg napięcia. W tej chwili energia dobiegająca z sali jest bardzo wymieszana, siedząc przy instrumencie mogę polegać tylko na swoim przekonaniu, a jest to trudniejsze niż sądziłem. Sam muszę decydować, w którą stronę skrócić w improwizacji. Cieszę się jednak, że poprzez moje koncerty mniej wyrobiona publiczność zaczyna się interesować Lutosławskim, Chopinem czy Coltrane'em.

Czybyś uprawiał w ten sposób rodzaj propedeutyki muzycznej?

Mnie uczono w szkole, że muzyka łagodzi obyczaje, czyli rozbudza wrażliwość. Dlatego cieszę się, że ostatnio udało mi się sprzedać do damskiego czasopisma płytę z muzyką napisaną na kwartet smyczkowy. Tysiące ludzi będzie słuchało kwartetu smyczkowego, a nie plastikowych dźwięków. Cieszę się przy okazji z sukcesu, jaki odniosłem, także dlatego, że jest to również szansa dla moich kolegów, którzy pokonczyli szkoły, grają i będą grać, dopóki zdrowie pozwoli, muzykę z innej półki niż łatwy pop.

Coraz częściej zdarzają się sytuacje, że młoda osoba bez żadnego solidnego przygotowania wygrywa konkurs telewizyjny i w ciągu tygodnia staje się gwiazdą, ale nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że uczyniono jej krzywdę, a sława tak łatwo zdobyta z reguły bardzo szybko przemija. Sława artysty to praca wielu osób, nie tylko tego gościa, który jest na scenie. Bez świadomości tych mechanizmów łatwo o tzw. wodę sodową i muchy w nosie. Ja sam, zanim trafiłem na okładki kolorowych pism, uczyłem się i pracowałem na ten sukces przez wiele lat.

Udaje ci się, co widać zwłaszcza na koncertach, znakomicie łączyć zabawę z artystyczną dyscypliną. Co lubisz bardziej, to pierwsze czy to drugie?

Co mnie bardziej kręci? Oczywiście bardziej mnie kręci zabawa. Ale ja jestem stary wyga. Od piątego roku życia gram na fortepianie i nie cieszy mnie zabawa, która nie ma sensu. Muszą być określone reguły gry. Każda dobra zabawa ma reguły, których nie należy przekraczać.

A co z free jazzem? Tam akurat reguł właściwie nie ma...

Grałem kiedyś free jazz i dziś mogę powiedzieć, że jest to łatwiejsze niż przygotowanie porządnego programu z zespołem, kiedy gramy konkretnie zapisane nuty i jest to poparte odpowiednią pracą. Granie free było bardzo ważnym etapem w moim życiu, bo miałem okazję wejść na najwyższe poziomy ekspresji. Trudno jest osiągnąć taką ekstatyczność grając muzykę aranżowaną, ale cały czas nad tym pracuję. Oczywiście, najlepiej kiedy na scenie wszystko wychodzi lekko, radośnie i spontanicznie, czyli kiedy tej pracy nie widać.

Wróćmy na chwilę do klasyki. W twoim przypadku to przede wszystkim polska klasyka. Dlaczego?

Jedyne sensowne wyjście dla artysty polskiego to być artystą polskim. Trudno jest zrobić światową karierę bez świadomości swoich korzeni. Staram się być pianistą polskim i grać po polsku, bo tylko wtedy jest to prawdziwe. Jestem wtedy bardziej atrakcyjny dla kogokolwiek w Etiopii, Indonezji albo Chile, bo jestem egzotyczny. Przekonałem się o tym w Nowym Jorku, kiedy słyszałem dziesiątki pianistów grających brudny, czarny jazz i przestałem mieć jakiegokolwiek kompleksy, bo okazało się, że nikt z nich nie gra po polsku.

Co jest przewagą polskiej muzyki i jej tradycji?

W rytmice nigdy nie dogonimy Bułgarów czy Rumunów. Jest jednak coś prawdziwego w sloganie o słowiańskiej duszy. W polskiej czy rosyjskiej muzyce mamy na pewno rodzaj piękna przejawiający się w jakimś smutku, nostalgii. Muzyka polska ma pewien nieuchwytny, trudny do nazwania kolor.

A polska szkoła jazzu?

Z pewnością jest kilka wielkich nazwisk – Komeda, Stańko, Seifert, Namysłowski, na pewno Adam Makowicz, z którym nagrałem płytę, gdzie on właśnie, a nie ja, był postacią pierwszoplanową. Makowicz gra teraz po amerykańsku, zawsze chciał tak grać, robi to doskonale, chociaż najbardziej lubię Makowicza sprzed wyjazdu do Stanów, właśnie z czasów, kiedy grał polski jazz.

Czy to prawda, że Polak nie umie swingować, że do tego trzeba być Amerykaninem, najlepiej czarnym?

Nie zgadzam się z tym. Kiedy grywałem jazz z Amerykanami, nikt z nich nie zarzucał mi, że nie potrafię swingować, zauważali tylko, że słuchałem za mało ich jazzowych płyt. Ja słuchałem za to Rachmaninowa, Prokofiewa, Chopina, Strawińskiego, słuchałem też Republiki z Grzegorzem Ciechowskim, więc gram inaczej niż Amerykanie.

Recenzenci mają pewien problem ze zjawiskiem Leszka Możdżera, trudno im określić, co ten pianista właściwie gra, jazz nie jazz?

Gram różne rzeczy, są i takie, których jeszcze nie wydałem na płytach. Generalnie staram się grać muzykę różnorodną, nie chcę zamykać się w jednym stylu, stąd pewnie ta dezorientacja recenzentów. Ale co tam, mam przecież dopiero 34 lata, więc choćby z racji wieku mam też prawo do poszukiwań. Jeśli chodzi o łączenie różnych gatunków – w szkole uczyłem się muzyki klasycznej, ale bardzo lubiłem rock i jazz, miałem więc spory dylemat. Teraz go nie mam, bo mogę w swoim graniu zawrzeć różne moje wcześniejsze fascynacje, łączyć klasykę z jazzem czy nawet z pewnymi elementami rocka.

Mówi się, że lubisz być showmanem.

Owszem, lubię i nie obrażam się, jeśli ktoś nazywa mnie showmanem. W Internecie rozpętała się niedawno dyskusja na ten temat, niektórzy uważają, że moje zapowiedzi poszczególnych utworów i typ kontaktu z publicznością są tandetne. Przyznam, że zaskoczyła mnie taka reakcja, a zwłaszcza wysoka temperatura niektórych wypowiedzi. Przyjęło się u nas uważać, że artysta na scenie musi być spocony, smutny i zmartwiony, a już zwłaszcza kiedy jest muzykiem jazzowym. Poczucie humoru okazuje się wykluczone, sugeruje brak szacunku dla publiczności. A przecież chyba lepiej być człowiekiem radosnym niż ponurym i zafrasowanym...

Grałeś, niemal na początku swojej kariery, z innym laureatem Paszportów „Polityki”, z Tymonem Tymańskim, tym enfant terrible naszej sceny. Jak patrzysz dziś na to doświadczenie?

Od Tymona wiele się nauczyłem, choćby niepokorności. On zawsze, wielokrotnie powtarzał, że chce zdemontować kulturę i na pewno jest w tym jakaś wartość, bo fajnie jest być w awangardzie, w offie, aczkolwiek teraz po latach myślę sobie, że burzenie nie jest najlepszym rozwiązaniem. Jeśli coś dobrze działa, nie należy tego rozwalać, lepiej budować własne struktury, raczej obok niż przeciwko czemuś. Tymon przez wiele lat mi imponował i tak jest do dzisiaj. Dużo mu zawdzięczam.

Wyczuwa się jednak w twojej muzyce dystans do konwencji.

Jasne, zwłaszcza jeśli nadmierne przywiązanie do konwencji rodzi uniformizację. W ogóle styl jako zjawisko za fundament ma naśladownictwo. Jeżeli stworzysz coś, co inni zdecydują się naśladować, stajesz się kreatorem nowego stylu. Zacytuję Lutosławskiego, który mawiał tak: „Oglądanie się na trendy jest zajęciem jałowym. Trzeba wyrażać siebie!”. Jest to jednak możliwe dopiero w momencie osiągnięcia pewnego warsztatowego poziomu. Nikt nie wymaga od kilkuletniego dziecka pisanie poezji, chociaż trafność niektórych dziecięcych spostrzeżeń jest porażająca. Jak to zrobić, żeby osiągnąć mistrzowski warsztatowy poziom pozostając cały czas dzieckiem, to jest właśnie pytanie, na które codziennie szukam odpowiedzi.

Co jest najpierw – chęć publicznego zaistnienia, kiedy wybiera się określony rodzaj grania, zdolny zainteresować publiczność, czy granie „z natury” tego, co się lubi?

Na pewno każdy artysta zadaje sobie równocześnie pytanie, co naprawdę lubi oraz jak zaistnieć, jak wyżyć z muzyki. Irytuje mnie gadanie, że prawdziwy artysta dorabia sobie w przedsiębiorstwach wodociągowych po to, żeby po godzinach robić swoją wybitną sztukę, której nikt nie rozumie. Wolę zrobić jakiś mniej przekonujący artystycznie projekt, który zapewni mi godziwe wynagrodzenie, niż iść na szycie do fabryki sznurówek. Pracując przy takim projekcie używam swoich narzędzi, jestem w zawodzie, zawsze się czegoś uczę, rozszerzam swoje umiejętności. To pozwoli mi zrobić lepsze projekty w przyszłości. Nigdy jednak nie biorę udziału w projektach, które obrażają moje poczucie smaku. Niestety, we współczesnym świecie jesteś tyle wart, ile sprzedajesz, a do tego współpraca z mediami jest niezbędna.

Radzisz sobie jednak całkiem dobrze w warunkach rynkowych.

Oczywiście, nie sposób od nich uciec. I nie ma takiej potrzeby. Cieszy mnie, że moje płyty się rozchodzą, że są kolejki po bilety przed koncertami. Dlatego zawsze zgadzam się na wywiady czy pozowanie do zdjęć. Jeszcze co do warunków rynkowych – wiadomo, że koniunkturę na muzykę tworzą media, przede wszystkim stacje radiowe. Irytuje mnie trochę powszechnie panosząca się amerykańskopodobna stylistyka, którą przepojona jest większość naszych krajowych produkcji. Ja się nie obrażam, że akurat w porach największej słuchalności nie ma tam tego, co gram, ale nie rozumiem, dlaczego w Polsce, kiedy jadę taksówką, słyszę tę samą muzykę, którą słyszałbym jadąc taksówką w Nowym Jorku czy Berlinie. Kiedy się jedzie taksówką w Argentynie, Brazylii czy nawet w Londynie, nie masz wątpliwości, gdzie jesteś, bo przez głośnik leci muzyka miejscowa.